

Alf Pröysen

Maleńka pani Flakonik

Przełożył Andrzej Nowicki .owała Krystyna Witkowska  
i KSIĘGARNIA WARSZAWA 1970

Tytuł oryginału norweskiego: „Kjerringa som ble sa lita som ei teskje”.

Tłumaczenia dokonano z przekładu angielskiego:

„Little Old Mrs PepperjeJŁ

82-^3

Ako. ПХ)H\

\ \

>r

Ж, J

Maleńka pani Flakonik

Żyła raz pewna stara kobieta, która każdego wieczoru kładła się do łóżka i zasypiała, a każdego ranka budziła się i wstawiała, co uważać należy za rzecz zupełnie normalną. Lecz tego akurat ranka spostrzegła, że w ciągu nocy zmałała i jest teraz nie większa niż flakonik na ocet lub oliwę, czego za rzecz normalną uważać nie należy. A najdziwniejsze było to, że nazywała się właśnie pani Flakonik.

— Stałam się maleńka jak flakonik na ocet lub oliwę, ale trudno, jakoś to będzie — powiedziała do siebie, ponieważ do nikogo innego powiedzieć tego nie mogła. Jej mąż wyszedł już wcześniej do pracy w polu, a dzieci miała dorosłe i dawno dom rodziców opuścili.

Tego dnia mnóstwo ją czekało roboty. Musiała sprzątnąć całe mieszkanie, umyć naczynia, które moczyły się w wodzie, wyprać bieliznę i przygotować naleśniki na kolację.

„Przede wszystkim trzeba jakoś wydostać się z łóżka, które jest teraz bardzo wysokie” — pomyślała.

Chwyciła róg kołdry i zaczęła się w nią zawijać. Zawijała się i zawijała, aż z kołdry powstało coś w rodzaju bardzo grubej kielbasy, która łagodnie opadła na ziemię razem z panią Flakonik w środku. Cała i nie potłuczona wygramoliła się spod kołdry na zewnątrz.

Teraz trzeba było zabrać się do roboty. Sprzątanie mieszkania poszło jej całkiem łatwo.

Usiadła po prostu przed mysią dziurą, zaczęła popiskiwać i tak długo to robiła, póki z dziury nie wyszła mysz.

— Sprzątnij porządnie całe mieszkanie od góry do dołu i od dołu do góry^ bo inaczej poskarżę na ciebie kotu! — powiedziała pani Flakonik do myszy.

I mysz sprzątnęła całe mieszkanie od góry do dołu i od dołu do góry, ponieważ bardzo bała się kota.

Wówczas pani Flakonik zawołała kota.

— IOci, kici! Zliż wszystko z talerzy i garn-

ków, bo inaczej poskarżę się na ciebie psu! — powiedziała do kota.

I kot zliżał wszystko z talerzy i garnków,

ponieważ bardzo bał się psa.

Wówczas pani Flakonik zawołała psa. — Pódź — tu, pódź — tu! Pościel łóżko i otwórz okno, bo inaczej nie dostaniesz kości! — powiedziała do psa.

I pies zrobił wszystko, co mu kazała, ponieważ bał się, że jeśli tego nie zrobi, kości nie dostanie. A gdy pościelił łóżko i otworzył okno, siadł na schodku przed drzwiami i merdał ogonem tak mocno, że jeszcze na dodatek wyglansował schodek, który lśnił teraz jak lustro.

— Sam sobie możesz wziąć kość! Nie mam czasu wszystkim usługiwać! — powiedziała pani Flakonik wskazując kość, która leżała w kącie kuchni.

Teraz, pani Flakonik zajęła się praniem. Trzeba było zacząć od namoczenia brudnej bielizny w strumyku, ale strumyk tak wysechł, że go prawie nie było.

Siadła więc pani Flakonik na brzegu i zaczęła mamrotać w sposób wyrażający najwyższe niezadowolenie:

— Długo ja żyję na tym bożym świecie, oj długo! Ale jeszcze nigdy nie widziałam tak wyschniętego strumyka! Jeśli deszcz zaraz nie spadnie, to chyba wszyscy poumieramy z pragnienia.

10

Mamrotała tak i mamrotała, a cały czas patrzyła prosto w niebo. Tak to czarną, deszczową chmurę zirytowało, że postanowiła zatopić panią Flakonik ulewą. Lecz ona schroniła się w porę pod szeroki liść łośnianu, gdzie w zacisznym ustroniu i ciepłe czekała, póki deszcz nie namoczy, nie wypierze i nie wypłucze wszystkiego, co było do namoczenia, wystania i чч^пип-Чахла..

I znowu pani "Flakonik zaczęła mamrotać w sposób wyrażający najwyższe niezadowolenie: — Długo ja żyję na tym bożym świecie, oj długo! Ale nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Południowy Wiatr był taki słaby, jak to się ostatnio zdarza. Jestem całkiem pewna, że jeśliby teraz zaczął wiać, nie mógłby nawet unieść mnie z ziemi, chociaż jestem mała jak flakonik. Południowy Wiatr poczuł się jej słowami dotknięty do żywego i natychmiast zaczął dąć z całej siły. Pani Flakonik zaś skryła się w borsuczej norze i stamtąd obserwowała, jak podmuchy wiatru wznoszą wypraną bieliznę w powietrze i rozwieszają na sznurze do suszenia.

I znów zaczęła mamrotać podobnie jak przedtem:

— Długo ja żyję na tym bożym świecie, oj długo! Ale nigdy jeszcze nie słyszałam ani nie widziałam, żeby słońce w samym środku lata tak mało ciepła dawało! Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że traci ono całą swoją dawną moc!

Słońce słysząc to, aż poczerwieniało z gniewu i wysłało na ziemię promienie piekące jak płomienie, chcąc nabawić panią Flakonik słonecznego udaru. Lecz ona zdążyła się już schronić bezpiecznie w domu i pływała spokojnie na spo-deczku po pełnym wody zlewie. A tymczasem

wściekłe słońce wysuszyło całą bieliznę rozwieszoną na sznurze przez Południowy Wiatr.

— Teraz weźmiemy się za kolację — powiedziała pani Flakonik do siebie. — Mąż wróci za godzinę i tak czy owak, trzydzieści naleśników musi być na czas gotowych!

.Szczęśliwym trafem już wczoraj wymiesiła ciasto w misce. Siadła więc tylko w kuchni i tak zaczęła mówić:

— Moja ty miseczko najdroższa, nie wiesz nawet, jak ciebie kocham! Ile to razy opowiadałam sąsiadkom, że nie ma na całym świecie takiej drugiej miski jak ty! Jestem pewna, że gdybyś tylko chciała, mogłabyś sama podsunąć się do kuchenki, a nawet zapalić gaz!

Wzruszona jej słowami miska podsunęła się do kuchenki i zapaliła gaz. Teraz pani Flakonik

12 zwróciła się do patelni:

\

— Nigdy nie zapomnę, jak kupowałam ciebie, moja ukochana patelenko! W sklepie było mnóstwo różnych patelni, ale ja powiedziałam: „Nie chcę żadnej innej, tylko tę, która wisi nad głową pani kasjerki! Ta albo żadna! Bo to jest najlepsza na świecie patelnia i pewna jestem, że gdybym miała kiedyś jakieś kłopoty, ona pierwsza pośpieszyłaby mi z pomocą. Skoczyłaby dla mnie w ogień, a przynajmniej na rozpaloną fajerkę!"

Wzruszona tymi słowami patelnia skoczyła na rozpaloną przez miskę fajerkę. A gdy była już rozgrzana tyle, ile trzeba, miska przechyliła się, aby ciasto mogło się na patelnię zsuwać.

Wtedy pani Flakonik tak zaczęła mówić:

— Słyszałam kiedyś bajeczkę o naleśniku, który sam toczył się drogą. Była to najgłupsza bajeczka, jaką znam, ale pewna jestem, że ten naleśnik, który teraz jest na patelni, mógłby, gdy-

13  
by tylko chciał, skoczyć w górę, fiknąć koziołka i z powrotem na patelnię opaść!

Słyszając to pierwszy naleśnik roześmiał się wesoło i skoczył z radością w górę machając kozła, tak jak pani Flakonik chciała. A za nim drugi i trzeci, i czwarty, i dziesiąty, i dwudziesty, i wszystkie inne naleśniki — skakały, wywracały koziołki i smażyły się dalej. Nim upłynęła godzina, trzydzieści ich leżało gotowych jeden na drugim.

Wkrótce pan Flakonik wrócił do domu. A w tej samej chwili, w której otwierał drzwi, pani Flakonik z powrotem urosła do swej dawnej, normalnej wielkości. I oboje zasiedli do kolacji.

Pani Flakonik nie wspomniała ani słowem o tym, że skurczyła się i niedawno jeszcze była mała jak flakonik, bo starsze kobiety nie lubią o takich rzeczach opowiadać.

Nakręcana lalka

Zbliżała się Gwiazdka. Pani Flakonik nuciła i podśpiewywała kolędy krzątając się przy kuchni, zadowolona, że udało jej się skończyć na czas wszystkie świąteczne przygotowania. Ciasto było już upieczone, indyk dochodził w piecyku — pozostawało tylko naparzyć sobie kawy, zasiąść wygodnie i trochę odpocząć.

— Nie ma to jak Gwiazdka — mówiła do siebie. — Wszyscy są szczęśliwi i zadowoleni, ale najszczęśliwsze są dzieci. Jak to miło patrzeć, gdy cieszą się i radują!

Pani Flakonik sama była czasem jak dziecko, bo wiemy już, że niekiedy kurczyła się do wielkości flakonika.

Właśnie sobie o tym myślała, gdy nagle ktoś 16 zapukał do drzwi.

— Proszę! — powiedziała pani Flakonik i do pokoju weszła mała dziewczynka, chuda i blada że coś okropnego.

— Moje biedne dziecko! — wykrzyknęła pani Flakonik. — Skąd przychodzisz? Nigdy cię chyba przedtem nie spotkałam, prawda?

— Ja jestem Ania i mieszkam w chatce pod lasem — odparła dziewczynka. — Chodzę dzisiaj od domu do domu i pytam, czy ktoś nie ma czasem niepotrzebnych ozdób na choinkę — anielskich włosów, kolorowych łańcuchów, koszyczków z rafii albo bombek. Może pani coś takiego z zeszłego roku pozostało?

— Na pewno coś się znajdzie, Aniu — powiedziała pani Flakonik. Poszła zaraz na strych po tekturowe pudełko z choinkowymi ozdobami,

— Jakie śliczne! — cieszyła się Ania. — Czy naprawdę mogę sobie to wszystko zabrać?

— Możesz, Aniu, możesz — zapewniła ją pani Flakonik. — A prócz tego jeszcze coś ode mnie dostaniesz. Jutro dam ci dużą, nakręcaną lalkę!

— O, nie wierzę! — powiedziała Ania.

— Dlaczego mi nie wierzysz?

— Bo pani nie ma lalki!

— Łatwo można temu zaradzić — rzekła pani Flakonik. — Pójdę do sklepu z zabawkami, kupię lalkę i jutro po południu przyniosę ci ją do domu. Dostaniesz ją akurat na samą Gwiazdkę! — Jak to pysznie, że pani do mnie przyjdzie! — ucieszyła się Ania. — Będę cały dzień sama, bo

i wrócę, dopiero, kiedy dzwon kościelny zacznie dzwonić.

Mała dziewczynka dygnęła grzecznie i odeszła. Pani Flakonik zaraz wybrała się do sklepu z zabawkami i kupiła dużą, nakręcaną lalkę, która wszystko mogła robić sama.

Ale gdy się następnego dnia obudziła, znowu była mała jak flakonik.

— Co za pech! — powiedziała do siebie. — Właśnie musiało

mi się to przytrafić, kiedy mam zanieść Ani lalkę w prezencie! Ale nic nie szkodzi! Jakoś dam sobie radę!

Ubrała się i spróbowała wziąć lalkę na ręce, ale była dla niej teraz za ciężka i nawet jej unieść nie mogła.

— Pójdę więc bez lalki, żeby Ani nie zrobić zawodu. Sama ją sobie potem zabierze — postanowiła. Otworzyła drzwi i wyszła z domu.

Całą noc padał śnieg i pani Flakonik od razu wpadła w głęboką zaspę. Kot, który siedział przed progiem, gdy zobaczył, że coś się w śniegu rusza, wyprężył się i skoczył, bo myślał, że to mysz.

— Uważaj, uważaj! — wrzasnęła pani Flakonik. — Schowaj pazury, bo mnie podrapiesz! Nie widzisz, że to ja, głupi kocie? Tylko znowu 20 w nocy zmałałam!

...:...

— Bardzo panią przepraszam — powiedział zawstydzony kot i chciał odejść.

— Poczekaj chwileczkę! — zawołała pani Flakonik. — Za karę, żeś mnie nie poznał, zaniesiesz mnie do głównej drogi!

Kot położył się na ziemi i pani Flakonik wdrapała mu się na grzbiet. A gdy znaleźli się już na szosie, usłyszeli zbliżający się coraz głośniejszy warkot.

— Co to może być takiego; — zapytała pani Flakonik.

— To na pewno nadjeżdża pług śnieżny — powiedział kot. — Lepiej zejźmy na bok, bo nas zakopie w śniegu.

— Nie będę nikomu schodziła z drogi! — rzekła pani Flakonik.

Siadła na samym środku jezdni i czekała tak długo, póki pług niemal na nią nie najechał. Wówczas hop! podskoczyła do góry i bęc! — zgrabnie opadła na sam jego przód.

— Patrzcie, patrzcie! — wołała, chociaż nikogo wokół nie było, bo przerażony kot od razu uciekł do domu. — Oto ja, stara kobieta, jadę sobie jakby nigdy nic na pługu śnieżnym!

Dojechała tak do stojącej na skraju lasu chaty i zanim ktoś zdążyłby powiedzieć „entHczek - pętliczek” — skoczyła na wielki zwał odrzuconego przez pług śniegu i zjechała zeń jak na saneczkach aż pod same drzwi chaty. Właśnie gdy otrząsała się ze śniegu, na progu stanęła Ania.

— Czy jesteś tą lalką, którą się nakręca i którą miałam dostać na Gwiazdkę od jednej pani? — zapytała.

— Nie jestem żadną lalką i sama się, dzięki Bogu, nakręcam — powiedziała pani Flakonik.

— Otrzep mnie ze śniegu i wejźmy do środka.

— To może jesteś tą panią, co się kurczy i robi się taka mała jak flakonik?

— Naturalnie, że to ja, pani Flakonik! — powiedziała pani Flakonik.

— Jeśli pani nie jest lalką, to gdzie jest ta lalka, którą miała mi pani dać na Gwiazdkę? — pytała Ania ze łzami w oczach.

— Zostawiłam ją w domu, bo była za ciężka. Odprowadzisz mnie i sama sobie lalkę weźmiesz — rzekła pani Flakonik.

Ania od razu poweselała.

— Jak to ładnie, że pani o mnie nie zapomniała i przyszła z wizytą. Proszę bardzo, może pani pozwoli — mówiła częstując swego gościa okrągłym ciasteczkem z dziurką.

•— Bardzo dziękuję — rzekła pani Flakonik i wsadziła głowę w dziurkę. 24 Mała dziewczynka okropnie się śmiała.

— Zupełnie zapomniałam, że pani jest taka maleńka — powiedziała. — Zaraz pokroję ciasteczko, żeby mogła je pani zjeść.

Poczęstowała jeszcze panią Flakonik naparstkiem soku malinowego, a potem bawiły się w różne gry: zaczęły od ciuciubabki, przy czym Ania musiała bardzo uważać, żeby nie nadepnąć na swego gościa. Bawiły się też w berka i w chowanego. Ania nigdy nie mogła znaleźć pani Flakonik, która kryła się w najdziwniejszych miejscach: w szufladach, pustych

wazonikach i za słoikami w spiżarni. Gdy zaczęło się robić późno, Ania włożyła palto, wsadziła panią Flakonik do kieszeni i poszła po swoją lalkę.

— Ach, dziękuję, dziękuję! — wykrzyknęła ujrzawszy ją. — Jaka śliczna! I wszystko umie robić! Wolalabym jednak mieć panią zamiast niej i panią móc się bawić!

Л

— Możesz mnie odwiedzać, kiedy zechcesz — powiedziała pani Flakonik. — I jeśli się przypadkiem zdarzy, że znów będę taka mała jak teraz, pomożesz mi w moich domowych zajęciach. Ale zawsze zostanie nam dosyć czasu na zabawę.

Od tego dnia mała dziewczynka często panią Flakonik odwiedzała. Nie jest już taka blada i chuda, i samotna, obie lubią sobie wspominać, jak to kiedyś, kiedyś, pani Flakonik przyjechała do Ani na pług śnieżnym.

Pan Flakonik kupuje makaron

— Dawno już nie mieliśmy makaronu na kolację — zauważył pewnego dnia pan Flakonik.

— Więc będziemy dziś mieli, mój kochany 26 mężu — powiedziała pani Flakonik. —

Zaraz pój-

dc po makaron do sklepu, tylko przedtem musisz mnie znaleźć!

— Mam ciebie znaleźć? — zdziwił się pan Flakonik. — A cóż ty za głupstwa wygadujesz, moja droga!

Lecz gdy rozejrzał się dokoła, nigdzie swojej żony nie zauważył.

— Żarty się ciebie trzymają! — wykrzyknął. — Na pewno schowałaś się do szafy. Wychodź natychmiast! Jesteś już za stara i za duża na takie zabawy!

— Wcale nie jestem za duża. Jestem w sam raz na zabawę w „zimno-gorąco” — śmiała się pani Flakonik. — Jak nie wierzysz, to spróbuj mnie znaleźć!

— Nie będę biegał po mojej własnej sypialni i szukał mojej własnej żony! — złościł się pan Flakonik.

— No, no, nie gniewaj się! Pomogę ci mnie znaleźć. Powiem „gorąco”, kiedy będziesz blisko, a „zimno”, kiedy będziesz daleko. Ale tu, gdzie jesteś, jest okropnie zimno, brrr! — powiedziała pani Flakonik, bo jej mąż wyjrzał właśnie przez okno, myśląc, że może wyskoczyła na zewnątrz.

I biedny pan Flakonik zaczął szukać swojej żony po całym pokoju, a ona wołała: „gorąco”, „chłodniej”, „cieplej”, „zimno”, „mróz” — aż mu się wszystko w głowie pomieszało.

Wreszcie pani Flakonik głośno wykrzyknęła: — Jeśli zaraz nie spojrzysz w górę, spalisz sobie sam czubek łysiny!

Pan Flakonik podniósł oczy i zobaczył swoją żonę, która siedziała na wysokim oparciu łóżka, śmiejąc się i dyndając nogami. Ale wcale mu się to nie podobało.

— Oj, niedobrze się stało, bardzo niedobrze — powiedział.

— Wcale tak nie uważam — rzekła pani Flakonik.

— Ładna historia! — martwił się jej mąż. — Całe miasto będzie się ze mme śmiało, że mam żonę wielkości flakonika!

l»

, ii ii ii ii ii u „ ! B "u "ii"»».

» ч ii u ii !Ц]'^.

,ншншiiiiШИ Милі,Г ?/

III1KIIIiШ)»<II1II «lltlO

• ■ > i

= = ^ niHiiuniiiainiiii\* —

30

— Nie martw się! Pośmieją się i przestaną. Postaw mnie lepiej na ziemi, żebyśmy mogła pójść do sklepu po makaron dla ciebie.

Ale jej mąż nie chciał o tym słyszeć.

— Sam pójde kupić makaron.

— Co to, to nie! — sprzeciwiła się pani Flakonik. — Już ja ciebie znam! Gdy wrócisz do domu, okaże się, że gdybym ci nawet wypisała na czole „makaron”, to i tak przyniósłbyś zamiast makaronu cynamon!

— Ale nie zajdziesz tak daleko na tych swoich maleńkich nóżkach!

— Najlepiej będzie, jeśli wsadzisz mnie do kieszeni i zanieśiesz do sklepu — powiedziała pani Flakonik.

Nie było innej rady. Pan Flakonik włożył

żonę do kieszeni i ruszył w drogę.

Pani Flakonik od razu zaczęła go łajać:

— Co ty tu nosisz w tej kieszeni? Po co ci to wszystko? Jakies śrubki i gwoździe, tytoń i zapalki! Nawet haczyk do wędki! Zaraz mi to wszystko wyrzuc! O mało co sama się na ten haczyk nie złapałam jak ryba!

— Lepiej siedź cicho jak ryba! — rzekł jej mąż i wyjął z kieszeni haczyk. — Właśnie wchodzimy do sklepu.

Można tu było kupić wszystko: suszone śliwki i śledzie, mąkę i mydło, makaron i naftę, zeszyty i filiżanki. Właśnie z tych filiżanek właściciel sklepu był niezwykle dumny. Jedną z nich ostrożnie podniósł do góry i pokazywał panu Flakonikowi.

Pani Flakonik nie mogła z ciekawości wytrzymać, bo też chciała filiżanki zobaczyć. Wspięła się na palce tak wysoko, jak mogła i wystawiła z kieszeni głowę.

31

32

— Nie wychylaj się, bo cię widać! — szepnął pan Flakonik.

— Bardzo piz.epxasxaina, czy sxaxiofłry can.

coi. mówił? — zapytał właściciel sklepu.

— Nie, nie, zanuciłem sobie tylko taką melodyjkę, tralala! — rzekł pan Flakonik.

— Jakiego koloru są te filiżanki? — dopytywała się cicho pani Flakonik.

Jej mąż w odpowiedzi zaśpiewał:

Są całe niebieskie, Ze złoconym brzeżkiem, Ale byłbym głupi, Gdybym je zakupił!

Przez pewien czas pani Flakonik siedziała spokojnie. Ale nie trwało to zbyt długo. Gdy jej mąż sięgnął do kieszeni po blaszane pudełko z tytoń, chwyciła się pokrywki — i ani pan Fla-

konik, ani nikt inny nie zauważył, jak ześliznęła się na ladę i ukryła za workiem mąki.

Stamtąd przemknęła cichutko do wagi, przepełzła pod nią, minęła dwa zawinięte w gazetę śledzie i w końcu znalazła się przy niebieskich ze złotym brzeżkiem filiżankach do kawy.

— Ach, jakie piękne, jakie śliczne! — szepnęła do siebie, cofając się krok do tyłu, żeby im się lepiej przyjrzeć.

I bęc! wpadła prosto do wysuniętej szuflady z makaronem.

Szybko się w nim zakopała, ale właściciel sklepu usłyszał coś jakby chrobotanie i trach! zaraz szufladę zamknął. Bo czasem mysz może się do takiej szuflady dostać i lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział, zwłaszcza jeśli jest to szuflada z makaronem w sklepie spożywczym. Więc nie należy się dziwić, że właściciel sklepu z takim pośpiechem ją zatrzaskał i jakby nigdy nie dalej obsługiwał klientów.

Pani Flakonik znalazła się w zupełnej ciemności, ale dochodziły ją głosy sklepikarza i męża, który dokonywał zakupów.

„Wszystko będzie dobrze — pomyślała. — Gdy^ poprosi o makaron, wsunę się do torebki”.

Ale stało się to, czego się obawiała: jej mąż zapomniał, po co przyszedł do sklepu. Pani Flakonik wołała z szuflady co si: „Makaron! Ma-34 karon!” — ale mąż nie mógł jej usłyszeć.

ii

— Poproszę ćwierć funta kawy — mówił pan Flakonik.

— I co jeszcze? — pytał sklepikarz.

— Makaron! — wrzeszczała pani Flakonik.

— Dwa funty cukru — poprosił mąż.

— I coś więcej?

— Makaron! — darła się pani Flakonik.

Na szczęście pan Flakonik sam sobie w końcu przypomniał o makaronie. Sklepikarz szybko napełnił nim torebkę. Usłyszał wprawdzie, jak coś się w szufladzie poruszyło, ale niczym się nie zdradził.

— To już wszystko, dziękuję — powiedział pan Flakonik, dumny, że sobie o makaronie przypomniał.

Gdy wyszedł ze sklepu i zamknął za sobą drzwi, chciał się upewnić, czy jego żona przypadkiem nie wypadła mu z kieszeni. Ale właś-

nie sprzed sklepu ruszał samochód rozwożący towary i kierowca zaproponował panu Flakonikowi, że go odwiezie. Więc dopiero kiedy znalazł się w domu i odłożył siatkę z zakupami, wsadził do kieszeni rękę, chcąc wyjąć żonę.

Kieszeń była pusta!

Pan Flakonik okropnie się przeraził. Z początku myślał, że pani Flakonik znowu stroi sobie z niego żarty, lecz gdy zawołał trzy razy: „Żono! Żono! Żono!” — a odpowiedziała mu głucha cisza, włożył kapelusz na głowę i wrócił do sklepu.

Sprzedawca dostrzegł go już z daleka.

„Na pewno przychodzi z pretensją, że znalazł mysz w makaronie” — przestraszył się.

— Czy pan o czymś zapomniał, panie Flakonik? — zapytał głośno i uśmiechnął się najuprzejmiej jak umiał.

Pan Flakonik rozejrzał się dokoła.

— Tak, zapomniałem.

— Byłbym panu nieskończenie wdzięczny, szanowny panie Flakonik, gdyby pan puścił tę mysz w niepamięć i nikomu o niej nie wspominał — mówił sklepikarz. — Dam panu całkowicie darmo te śliczne niebieskie ze złotym brzeżkiem filiżanki do kawy, jeśli pan nikomu słowa nie powie o tej myszy.

— O myszy? — zdziwił się pan Flakonik.

— Ciiii!... — szepnął sklepikarz kładąc palec na ustach i szybko zaczął zawijać filiżanki.

Pan Flakonik domyślił się, że sklepikarz pomylił jego żonę z myszą, więc zabrał filiżanki i pobiegł pędem do domu. Po drodze oblewał go zimny pot na myśl, że pani Flakonik mogła się już na śmierć udusić w torbie z makaronem.

— O, «moja ukochana żonusiu! — szepnął do siebie. — Nigdy już w życiu nie będę się wstydził, że jesteś maleńka jak flakonik!

A gdy otworzył drzwi, jego żona stała spokojnie przy kuchni i już gotowała makaron — a była znowu wielkości naturalnej, to znaczy taka jak ty, ja i każdy z nas.

Królowa Wron

Czy słyszał kto kiedy, żeby stara kobieta, ma-\Д, lenka jak flakonik na ocet lub oliwę, została

Królową Wron?

Nie naturalnie że nikt o niczym podobnym nigdy me słyszał, bo po dziś dzień był to sekret znany tylko pani Flakonik i mnie. Ale właśnie dzisiaj mogę wam już opowiedzieć, jak to 38 z tym było.

Otóż za domkiem państwa Flakonik stał drewniany płot, a na tym płocie siadywała od czasu do czasu wielka, czarna wrona.

— Nie rozumiem, czego ona tu chce?—dziwił się pan Flakonik. — Siedzi na płocie i gapi się prosto w okno kuchni.

— Ja też nie wiem — powiedziała pani Flakonik do męża. — A sio! — krzyknęła.

Ale wrona nie odleciała.

Pewnego dnia, właśnie gdy w domu czekało mnóstwo roboty, pani Flakonik znowu stała się małeńka. Naszło ją to, gdy wracała z miasta, i okropnie się zmęczyła, zanim udało jej się wgra-molić na schodek przed drzwiami.

— Ciężki to los, gdy się jest. taką malutką, jak ja teraz — westchnęła sapiąc głośno.

Nagle rozległ się łopot skrzydeł i na schodek opadła wielka wrona — ta sama, która zwykła 40

siadywać na płocie. Chwyliła panią Flakonik za spódnicę i uniosła wysoko ponad najwyższe sosny w lesie.

— Co to za głupie kawały; — złościła się pani Flakonik. — Poczekaj tylko, aż znowu będę duża! Przepędzę cię miotłą na cztery wiatry! — Kra, kra! Ale teraz jesteś malutka i nic mi nie możesz zrobić — kraknęła wrona. — Długo czekałam na tę okazję! Widziałam już raz, jak zmalowałaś, i pomyślałam, że to na pewno znowu kiedyś się powtórzy. Kra, kra! Nic się nie bój! Jesteśmy już prawie na miejscu i zdążymy na czas. Bo dziś odbywa się Wielki Festiwal Wron. Chcę, żeby mnie wszystkie wrony w lesie obrały za królową!

— Jeśli chcesz zostać Królową Wron, to po co ci taka stara kobiecina jak ja? Dlaczego mnie właśnie porwałaś? — dziwiła się pani Flakonik.

-\*- Kra, kra! Mylisz się. Jesteś mi bardzo potrzebna! — odparła wrona i gwałtownie zatrzepotała skrzydłami, bo pani Flakonik była jednak nieco cięższa, niż myślała. — Dowiesz się, po co cię porwałam, gdy przylecimy do mojego gniazda. Zaraz tam będziemy, czekaj cierpliwie!

„Nic innego nie mogę robić, tylko cierpliwie czekać” — pomyślała pani Flakonik dyndając w powietrzu.

— Kra, kra! Już jesteśmy w domu! — rzekła wrona upuszczając panią Flakonik do gniazda.

— Na szczęście jest puste. Kra, kra!

— Ładnie mi puste! Pełno w nim okropnie ciernistych gałązek! Podrapałam sobie plecy, gdy mnie tu wrzuciłaś! — skarżyła się pani Flakonik.

— O, moje biedactwo! — rozczuliła się wrona.

— Zaraz ci podścielę pierza i puchu. Zrobię ci ciepłe i rmęciutkie łóżeczko.

— Nie chcę żadnego pierza i puchu! Chcę wracać do domu! — irytowała się pani Flakonik.

— Musisz przede wszystkim wypocząć i przespać się trochę —uspokajała ją wrona.—Ale przedtem bądź taka dobra i pożycz mi to wszystko, co masz na sobie. Zdejm tę chustkę z głowy i bluzkę, i spódnicę. Chustką owinę sobie szyję, bluzkę włożę na jedno skrzydło, spódnicę na drugie — zobaczysz, jak pięknie będę wyglądała! Polecę na leśną polankę, gdzie wszystkie wrony z całego lasu się zbiorą, żeby wybrać najlepszą spośród siebie na królową! Gdy ujrzą mnie w tym stroju, na pewno zostaną królową. A wtedy i tobie coś z królewskiego stołu kapnie. Kra, kra!

— Jeśli sądzisz, że moje stare szmaty zrobią z ciebie królową, to proszę bardzo, służę ci! Pani Flakonik zdjęła z siebie bluzkę, chustkę i spódnicę i zaczęła ubierać w nie wronę.

— Spiesz się, spiesz się — nagliła wrona. — Zaraz tu po mnie wstąpi moja przyjaciółka, która ma gniazdo tam, gdzie ta sosna na wzgórzu. Razem wybierałyśmy się na Festiwal, ale

teraz gdy wyglądam tak wytwornie, wolę sama polecieć. Kra, kra! — zakraką na pożegnanie i odfrunęła.

44

Pani Flakonik drżała z zimna w samej bieli-źnie, więc chcąc się ogrzać, szybko zagrzebała się w puchu i pierzu, którym wysłane było gniazdo i było jej już ciepło i przyjemnie.

Nagle gałąź gwałtownie się zatrzęsała i na jej końcu siadła duża, nastroszona wrona.

— Kra, kra! Gdzie jest Pelagia, gdzie jest Pelagia? — krakała niespokojnie wtykając dziób w gniazdo.

— Poleciała już na Festiwal — wyjaśniła pani Flakonik, domyślając się, o kogo chodzi.

— Poleciała na Festiwal beze mnie?—zaniepokoiła się wrona. — A ty kto jesteś, kto ty jesteś, co?

— Jestem starą kobietą, która zziębła, a teraz wygrzewa się w puchu. Bo twoja przyjaciółka pożyczyła sobie moją chustkę, bluzkę i spódnicę!

— Kra, kra! A to dopiero! Na pewno będzie najlepiej wyglądała ze wszystkich wron! Co za cios, co za cios! — krakała z rozpaczą i wzbiła się w powietrze. — Dogonię ją i odbiorę jej twoją chustkę!

Pani Flakonik znowu ułożyła się w ciepłym puchu i właśnie gdy słodko zasypiała, gałąź przycięła się tak mocno, że stara kobieta potoczyła się aż do samej krawędzi gniazda.

— Jeszcze jedna wrona — westchnęła. I nie myliła się.

— Kra, kra! Droga Pelagio, czy nie widziałaś czasem Eulalii, czy nie widziałaś czasem Eulalii; — pytała niespokojnie nowo przybyła wrona.

— Widziałam je obie: Pelagię i Eulalię — powiedziała pani Flakonik, po raz drugi domyślając się, o kogo chodzi.

— A kto ty jesteś, kto ty jesteś;—dopytywała się wrona.

— Jestem starą kobietą, która się grzeje, bo zziębła. Pelagia pożyczyła ode mnie chustkę, bluzkę i spódnicę. Poleciała na Festiwal!

— A to okropne, a to okropne! Kra, kra! — denerwowała się wrona. — Będzie wyglądała naj-wytworniej ze wszystkich i zostanie królową!

— Może tak, a może nie — pocieszyła ją pani Flakonik. — Eulalia poleciała za nią, żeby jej odebrać chustkę!

— To ja jej zabiorę spódnicę, zabiorę jej spódnicę! Kra, kra! — zakraką wrona, która była największą z trzech wron. Toteż gdy odlatywała, gałąź tak gwałtownie się odgięła, że pani Flakonik omal nie wyleciała z gniazda jak z procy.

Na leśnej polance zebrało się już całe mnóstwo wron. Nic tylko wrony, wrony i wrony! Zasiadły wkoło i po kolei występowały na środek, żeby się innym pokazać i popisać, czym która umiała.

Jedne podskakiwały na prawej lub lewej nodze nie dotykając skrzydłami ziemi, inne wykonywały jeszcze trudniejsze sztuczki, a wszystkie miały ślicznie wygładzone piórka i starały się wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Bo jedna z nich miała być wybrana Królową Wron.

•

48

Do finału doszły tylko trzy konkurentki. Siadły z dala od siebie i każda z nich patrzyła na swe rywalki nienawistnym wzrokiem.

Pierwsza wystroiła się w chustkę, druga — w bluzkę, a trzecia—w spódnicę. Łatwo więc chyba się domyślić, co to były za wrony. Któraś z nich na pewno zostanie królową.

— Najlepiej się prezentuje ta w chustce na szyi — kraknęła jakaś wrona. — Najbardziej przypomina istotę ludzką!

Ł ж c I J %

— Nie! nie, ta w spódnicy wygląda znacznie lepiej! — kraknęła inna.  
— Nic podobnego! Naj wytworniej sza jest ta w bluzce! A królowa musi być bardzo wytworna! — kraknęła jeszcze inna.  
Nagle coś ciężkiego pacnęło z góry na ziemię. Była to sójka, która opadła w sam środek festiwalowego koła, trzymając w dziobie jakiegoś bardzo dziwnego ptaka. Była to niby wrona, a niby nie wrona.  
— Kra, kra, kra! To jest festiwal wron, a nie sójek — zaczęły krakać wrony. Wynos się stąd! Ale sójka nie dała się zakrakać.  
— Wiem, wiem — powiedziała. — Nie bójcie się, nie będę się między was pchała. Przyniosłam wam tylko waszą królową!  
— Cooo? To ma być nasza królowa? — oburzyły się wrony i wlepiły oczy w dziwnego ptaka, który tak nagle znalazł się wśród nich. Ptak ten miał wronie pióra i pierze, ale wyglądał strasznie niechlujnie. A niechlujnych wron nie wpuszczano na festiwal.  
— To jest wbrew regulaminowi! — powiedziała największa z wron.  
— Zdziobać tę okropną wronę, zdziobać ją! — kraknęła Pelagia.  
— Rozszarpmy ją na sztuki! — dodała Eulalia.

— Tak, tak!—krakały wrony. — Rozszarpać W ją, zdziobać, zdeptać!  
— Wstrzymajcie się chwilę!—wrzasnęła rozpaczliwie dziwna wrona i szybko wskoczyła na pie-j niek, który był czymś w rodzaju estrady. — i. Posłuchajcie, jak ślicznie umiem śpiewać!  
I zanim ktokolwiek mógł przeszkodzić, zaśpiewała piosenkę „Ptasie radio” na melodię ułożoną przez siebie.  
A umiała na pamięć wszystkie linijki, od V początku do końca!  
Słuchając jej śpiewu, nieprzyjazne początkowo wrony zaczęły jedna po drugiej wpadać w zachwyty, klaskały i trzepotały skrzydłami z uciechy.  
— Bravo! Bis! — krzyczały.—Pokaż nam jeszcze, co umiesz!  
— Mogę zatańczyć poleczkę — powiedziała 52 dziwna wrona i zaczęła podskakiwać to na je-  
^III^III  
dnej nodze, to na drugiej, to na obu naraz — że aż puch i pióra zaczęły z niej opadać.  
I choć, jak się okazało, w cudze ustroiła się piórka, podbiła serca wszystkich wron.  
— Bądź naszą królową! Bądź naszą królową! — krakały entuzjastycznie jedna przez drugą, druga przez trzecią, trzecia przez czwartą, aż wszystkie zgodnym chórem krzyknęły: — Niech żyje nasza nowa Królowa Wron!  
Wówczas zbliżyła się do niej wrona pełniąca obowiązki Marszałka Dworu, skłoniła się i rzekła:  
— Kra, kra! Wasza Królewska Jejmość Dozwoli sobie przedstawić cztery damy dworu, które wykonają jej rozkaz,. Mo^y. nawet zanieść Waszą Królewską Jejmość, gdziekolwiek by sobie Wasza Królewska Jejmość życzyła!  
— Doskonale! — ucieszyła się Królowa. — Proszę mnie zanieść o tam, do tego domku za lasem.  
i  
— A w jaki strój chciałaby się Wasza Królewska Jejmość ubrać? — zapytały ją damy dworu.  
— W chustkę, bluzkę i spódnice! — odparła Królowa.  
Wieczorem tego samego dnia ktoś zapukał do drzwi stojącego za lasem domku. Pan Flakonik otworzył je i na progu stanęła jego żona —już wielkości naturalnej.  
— Spóźniłaś się, moja droga — rzekł surowo pan Flakonik. — Gdzie byłaś tak długo?  
— Byłam na Festiwalu.

— Co to ma znaczyć? Skąd się wzięły te pióra na tobie? Jak ty, kobieto, wyglądasz? — dopytywał się mąż.

— Lepiej kładź się do łóżka i o nic się nie martw — rzekła pani Flakonik.

Zdjęła z siebie największe pióro i zatknęła je za ramę okna.

— A to znowu co takiego? Czemu to robisz?—dziwił się pan Flakonik.

— Właściwie sama nie wiem. Robię to ot, tak sobie... — powiedziała w zamyśleniu.

A zrobiła to na znak, że jest Królową Wron, z czego w gruncie rzeczy była niesłychanie dumna.

Pani Flakonik na szkolnej zabawie

Pewnego dnia pani Flakonik piekła w kuchni pierniczki, w czym pomagała jej Ania, dziewczynka, która, jak pamiętacie, dostała od niej na Gwiazdkę piękną, nakręcaną lalkę. Ania wyskrobywała łyżką miskę i zlizywała z niej resztki piernikowego ciasta, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi. Pani Flakonik powiedziała: „Proszę” — i na progu stanęły trzy bardzo eleganckie damy. — Dzień dobry — powiedziały chórem. —

П

Przyszłyśmy w sprawie loterii, która odbędzie się dziś wieczór w czasie szkolnej zabawy połączonej z koncertem. Może posiada pani jakiś niepotrzebny drobiazg, który nadawałby się na fant? Za zebrane pieniądze zakupimy nowe trąby dla szkolnej orkiestry dętej.

— Chciałabym bardzo przyczynić się do te-

kłaniając się pani Flakonik, która przepadała za dętą orkiestrą. — Czy taca pełna pierniczek nadawałaby się na ten cel?

— Ależ oczywiście, oczywiście! — mówiły eleganckie damy, wymieniając ironiczne uśmiešky poza plecami pani Flakonik. — Jeśli pierniczki są już gotowe, możemy je nawet ze sobą zabrać.

Lecz pani Flakonik strasznie chciała pójść na zabawę i posłuchać orkiestry dętej, powiedziała więc, że sama pierniczki przyniesie.

A gdy punktualnie o szóstej Ania wstąpiła po nią, bo razem się na zabawę wybierały, nigdzie jej znaleźć nie mogła. Chodziła z pokoju do pokoju, wołała głośno: „Pani Flakonik! Pani Flakonik!” — ale wszystko na próżno. Dopiero gdy znowu znalazła się w kuchni, posłyszała jakieś dziwne odgłosy idące od stołu. Stała na nim przewrócona do góry dnem miska. Ania uniosła ją ostrożnie bojąc się, że siedzi pod nią mysz. Ale nie była to mysz, lecz pani Flakonik we własnej, choć znowu zmniejszonej do wielkości flakonika osobie.

— Co za pech! — westchnęła. — Wstawiłam pierniczki do piecyka i właśnie gdy wyskrobywałam miskę, poczułam, że się kurczę. Szybko! Trzeba je wyjąć, bo się jeszcze spalą!

Niestety, było już za późno. Pierniczki, które miały być ozdobą loterii, spaliły się na żużel.

Pani Flakonik aż się rozpląkała ze zmartwienia. Kie szy\&o otarta \zy i zamiast ^akać ractphi myśleć, myśleć i myśleć. I w końcu roześmiała się wesoło.

— Mam pyszny pomysł! — powiedziała do Ani. — Ale przede wszystkim wsadź mnie pod kran i obmyj z tego lepkiego ciasta. Zobaczysz! Jeszcze zdążymy, jeszcze pójdziemy na zabawę!

— Ale jak pani będzie mogła tam się pokazać, taka maleńka? — niepokoiła się Ania.

— Nic się nie martw! Musisz tylko zrobić wszystko, co ci powiem — rzekła pani Flakonik i wydała Ani szereg bardzo dziwnych dyspozycji.

Kazała się opasać piękną jedwabną wstążką, która wyglądała na niej jak bardzo gustowna spódnica. Ze srebrnej choinkowej nici, którą Ania owinęła ciasno wokół jej talii, powstał prześli-

czny, lśniący gorsecik. Na głowę założyła zgrabny berecik, który Ania zrobiła ze złotej folii. Gdy wszystko było gotowe, pani Flakonik przejrzała się cała w kieszonkowym lusterku i z uznaniem pokiwała głową.

— Wyglądam zupełnie nieźle. Teraz zapakuj mnie ładnie w celofan i włóż do tekturowego pudełka.

— Do tekturowego pudełka? Mam panią włożyć do tekturowego pudełka?—dziwiła się Ania.

— Tak! Przecież obiecałam, że dam fant na loterię i muszę słowa dotrzymać. Tym fantem będę ja!—rzekła triumfalnie pani Flakonik.—Zaniesiesz mnie do szkoły i położysz na stole między innymi fantami. Powiedz, że przyniosłaś lalkę, która sama robi wszystko, jeśli ją się nakręci, i że kluczyk masz w kieszeni. Gdy dam ci znak, będziesz udawała, że mnie nakręcasz. Rozumiesz już teraz?

Zobaczysz, jaka będzie ze mnie pyszna nakręcana lala!

Ania zrobiła to, o co ją pani Flakonik prosiła, a kiedy przyszła na zabawę i położyła lalkę na stole, wiele osób aż klasnęło w ręce z zachwytu, a jeszcze więcej zbiegło się, chcąc ją z bliska obejrzeć.

— Co za śliczna lalka! —podziwiali.

— A jak pięknie ubrana!

— Jaki ma berecik!

— A jaki gorsecik!

Zachwytom nie było końca. Pani Flakonik leżała zupełnie nieruchomo w otwartym pudełku, a gdy usłyszała tyle o sobie komplementów, mrugnęła porozumiewawczo jednym okiem i Ania już wiedziała, co ma dalej robić. Ostrożnie wyjęła panią Flakonik z pudełka i udawała, że ją nakręca kluczykiem.

Wszyscy przyglądali się Ani uważnie, ale na szczęście nikt nie spostrzegł, że żadnego kluczyka w rękę nie ma. A gdy niby to nakręcona pani Flakonik zaczęła spacerować po stole między rozłożonymi fantami, entuzjazm patrzących doszedł do zenitu.

— Ta cudowna lalka umie chodzić! — krzyczeli.

Pani Flakonik, zachęcona swoim powodzeniem, odtańczyła skoczną poleczkę i wówczas rozległ się jeden wielki okrzyk zachwytu:

— Nie tylko chodzi, ale i tańczy!

Trzy eleganckie damy, które były rano u pani Flakonik, siedziały teraz na honorowych miejscach i zachowywały się niezwykle wytwornie. Pierwsza z nich dała na loterię sześć kosztownych filiżanek do kawy (niebieskich ze złotym brzeżkiem), druga dała haftowany obrus, a trzecia — tort cały lukrowany.

— Może mnie poznały i dziwią się, dlaczego nie przyniosłam pierniczków? — złąkla się pani Flakonik, która na chwilę zapomniała, że jest te-j raz maleńka. — Muszę im to jakoś wytłumaczyć!— j postanowiła i przemaszerowała przez cały stół prosto do trzech eleganckich dam.

Wprawiło je to w wielką dumę. „Nakręcana lalka — myślały — a wie, co się komu należy!”

— Chodź tu do mnie, śliczna laleczko — powiedziała ta, która dała filiżanki. Wyciągnęła 1 otwartą dłoń i pani Flakonik od razu na nią we-1 szła, bo na szczęście przypomniała sobie, że jest 1 teraz maleńka.

— Niech mi pani pozwoli łaskawie potrzy-1 mać ją trochę — powiedziała ta, która dała haftowany obrus, i pani Flakonik przeszła do jej ręki.

— Teraz moja kolej, o ile się nie mylę — dopominała się ta, która dała lukrowany tort.

— Może zgadły jednak, że ja to ja? — niepokoiliła się pani Flakonik. — Bo dlaczego tak na mnie badawczo patrzą i biorą mnie do ręki?

Ale myliła się, gdyż właśnie dama od lukrowanego tortu powiedziała złośliwie:

— Trzeba przyznać, że to znacznie lepszy fant niż te okropne pierniczki, które ta dziwna, stara kobiecina chciała nam dać! Cha, cha, cha!

Popelniła ogromny błąd! Nigdy, przenigdy nie powinna tego mówić! Pani Flakonik, słysząc jej złośliwe słowa, aż skoczyła w górę i bęc! — wpadła w sam środek wspaniałego tortu. Podniosła się i człap, człap! — zaczęła brodzić po jego lukrowanej powierzchni. Dama, która tort ofiarowała, wydała tylko jęk rozpaczony i omal nie zemdląca. Wszyscy inni śmiali się do rozpuku.

— Zabierzcie tę okropną lalkę! — krzyczała druga dama, zapominając, że eleganckie damy i nigdy nie krzyczą. Ale było już za późno: pani Flakonik pac, pac! — deptała unurzonymi w lu-! krze nóżkami po jej haftowanym obrusie.

— Ach, ach! Pomocy, pomocy! — jęczała trzecia dama. Ale pani Flakonik szalała już wśród drogocennych filiżanek, wywijając polkę z hołubcami i przytupem. Filiżanki przewracały się, spadały na ziemię i tłukły w drobne kawałeczki.

Cóż to był za zamęt! Kapelmistrz dętej orkiestry z trudem uspokoił zebranych przy pomocy słodkich tonów walca „Nad pięknym, modrym Dunajem”. A gdy melodia ucichła, zapowiedział, że zaraz zostaną podane numery wygrywających losów.

— Główną wygraną będzie naturalnie ta cudowna, nakręcana lalka! — oznajmił uroczyście.

ry Y\* »\*^ •\*

Ania, słysząc to, bardzo się przestraszyła. Co się stanie, jeśli ktoś wygra panią Flakonik; Czy nigdy już nie wróci do swego domu, do męża; Pociągnęła ją więc ukradkiem za spódnicę i szepnęła:

— Może lepiej wsadzę panią do kieszeni i wymkniemy się stąd;

— Nie, nie rób tego — powiedziała pani Flakonik.

— Ale co będzie, jeśli czyjś los na panią padnie;

— Co ma się stać, niech się stanie! — oświadczyła pani Flakonik.

Orkiestra właśnie wykonała wspaniały tusz.

— Główna wygrana w postaci nakręcanej lalki padła na los numer 311! — obwieścił kapelmistrz.

Wszyscy gorączkowo sprawdzali swoje bilety. Ale nikt nie miał numeru 311.

— Na razie się udało — z ulgą odetchnęła Ania.

Ale zaraz ogłoszono, że odbędzie się ciągnięcie dodatkowe.

Nagle Ania przypomniała sobie, że przecież sama trzyma w ręku swój bilet na loterię, na który dotąd nawet nie spojrzała. I co za szczęście! Widniała na nim triumfalnie zwycięska cyfra 311!

— Poczekajcie, poczekajcie! — zaczęła wołać jak mogła najgłośniej.—Ja wygrałam nakręcana lalkę!

Kapelmistrz dętej orkiestry wręczył jej uroczyście panią Flakonik, którą Ania wzięła pod pachę i zaniósła do domu.

Następnego dnia pani Flakonik wróciła do swej zwykłej wielkości, a Ania nadal była małą dziewczynką.

— Zawsze będziesz moją kochaną, małą przyjaciółką, prawda, Aniu? — powiedziała pani Flakonik.

— Tak—zgodziła się dziewczynka. — A pani zawsze będzie moją własną, kochaną panią Flakonik, bo wczoraj wygrałam panią na loterii!

I to już ostatnia przygoda pani Flakonik. Nie kurczyła się już więcej do wielkości flakonika na ocet i oliwę — co uważać chyba należy za rzecz zupełnie normalną.

Miriam z Ameryki

Była raz lalka tak piękna i pięknie wystrojona, że musiała dzień w dzień, cały dzień siedzieć na komodzie, aby swej sukienki nie zabrudzić lub nie pomiać. Zresztą niczego innego robić

nie umiała — ani zamykać i otwierać oczu, ani mówić „mama”, ani stać o własnych siłach. Nawet rozbierać i ubierać jej nie było można, bo elegancką sukienkę przyszyto do niej na stałe. Lecz nie ulegała najmniejszej wątpliwości, że była to najwspanialsza lalka ze wszystkich lalek, i dlatego królowała im siedząc na szczycie swej komody.

Dziewczynka, która tę lalkę dostała, nie pozwoliła swoim koleżankom nawet jej dotknąć. A kiedy pytały dlaczego, tak im odpowiedziała: 71

— Ona ma na imię Miriam i przyjechała z samej Ameryki. Przepłynęła cały Ocean Atlantycki i nawet mnie nie wolno się nią bawić, póki nie będę duża.

Koleżanki słysząc to, tak się zdumiały, że aż oczy zrobiły im się okrągłe. Założyły więc ręce za siebie, stanęły przed komodą i patrzyły w milczeniu na Miriam z Ameryki.

Pewnego dnia, gdy okno w pokoju było otwarte, ktoś otworzył również drzwi i zrobił się okropny przeciąg, który porwał Miriam z komody i wywiał ją do ogrodu. Upadła na wznak i leżała na ogrodowej ziemi, patrząc prosto w niebo.

Zapadł zmierzch, ciemniało i ciemniało, aż nadeszła głęboka noc i zaczęły migotać gwiazdy. A potem wypłynął na niebo księżyc w pełni.

— Co tam takiego dziwnego leży na ziemi w tym ogródku? — zapytał kierując swój blask na Miriam.

Lecz ona nie odezwała się i dalej leżała patrząc w niebo. Ale między wierzchołkami drzew zaświstał wiatr i odpowiedział za nią:

— To, proszę Księżycu, jest Miriam z Ameryki, najelegantsza lalka ze wszystkich lalek. Królowała nad nimi ze szczytu komody.

— Czy ona umie mówić? — zapytał Księżyc.

— Chyba nie — rzekł Wiatr. — Powiedz, Miriam, czy umiesz mówić. Miriam milczała.

— Odezwij się, Miriam, postaraj się choć troszeczkę — namawiał ją Księżyc.

Lecz ona dalej leżała cicho i nieruchomo. Księżyc jednak zauważył, że próbowała coś powiedzieć, więc czekał cierpliwie.

— Przez morze i pod niebem — rzekła nagle Miriam.

— Co przez morze? Pod jakim niebem? — dopytywał się Księżyc.

— Bo gdy płynęłam przez morze, myślałam, że to bardzo zabawnie płynąć przez morze — mówiła Miriam

jeszcze nie całkiem gładko. — A teraz leżę tutaj wprost pod niebem i myślę, że znacznie zabawniej jest leżeć pod niebem niż płynąć przez morze.

— Ale najprzyjemniej jest chyba być najpiękniejszą i najelegantszą lalką ze wszystkich lalek i siedzieć na szczycie komody? — zapytał Wiatr.

— Nic podobnego! To najnudniejsza rzecz na świecie — powiedziała Miriam. — Ach, czy mógłbyś zrobić coś takiego, żebym wreszcie przestała być taka elegancka i wytworna?

— Służę ci! — zaśmiał się Wiatr, dmuchnął i wrzucił ją do wielkiej kałuży.

Miriam nie posiadała się z radości.

— Jak przyjemnie pluskać się w wodzie! — wołała radośnie. — Nigdy jeszcze tego nie robiłam!

— Teraz ja! Teraz ja! — napraszał się Księżyc. — Teraz ja chcę coś dla ciebie zrobić! Zaraz

zobaczysz, jak cię świetnie zabawię — dodał po chwili namysłu i twarz mu się jeszcze bardziej rozpromieniła.

Błysnął prosto w oczy Burkowi, który spał w swojej budzie. Burek mruknął, przetarł łapą oczy, zobaczył Miriam baraszkującą w kałuży i aż szczerknął z uciechy. Chwycił ją za jedwabną sukienkę i pognał gdzie oczy poniosą. Miriam huśtała się w górę i w dół, i w bok, i w skos, gdy tak pędził razem z nią, ale nic się nie bała, bo dobrze znała Burka. Nieraz zwinięty w kłębek leżał w jej pokoju przed ogniem na kominku i patrzył na nią, gdy siedziała

na komodzie. Czy mogli wtedy oboje odgadnąć, że już niedługo tak się będą razem świetnie bawili?

Księżyc oświecił im drogę, a Wiatr pędził wraz z nimi, fikając radośnie koziółki. Dopiero przed samym świtem wrócili do domu. Okno

wciąż jeszcze było otwarte, ale Miriam w żaden sposób nie mogła się na nie wspiąć.

— Nie ma rady, musimy poprosić wronę, żeby ją do pokoju zaniósła — powiedział Księżyc drapiąc się w głowę, bo nie przepadał za wronami. Ale ta akurat była miłsza od innych i bez wielkich ceregieli wzięła Miriam w dziób, wleciała do pokoju i ostrożnie posadziła ją na komodzie.

Możecie sobie wyobrazić, co to była za awantura, gdy mama dziewczynki zobaczyła, w jakim stanie jest Miriam! Ale trudno się przecież gniewać na lalkę, która nie umie nawet zamykać i otwierać oczu ani mówić „mama”, ani stać o własnych siłach, ani ubierać się i rozbierać, bo wszystko jest do niej przyszyte.

I nocna przygoda Miriam dobrze się skończyła. 78 Nigdy więcej nie było jej nudno, nie siedziała

"■

po całych dniach na komodzie, nie była już naj wytworniej szą lalką ze wszystkich lalek i przestała być ich królową. Mała dziewczynka nie posiadała się ze szczęścia, bo mogła bawić się teraz swoją lalką ile dusza zapagnie.

Czasem tylko, kiedy powiał Zachodni Wiatr, Miriam nieznacznie machała do niego ręką. A miało to znaczyć:

„Dziękuję ci, mój kochany Wietrzyku, żeś mnie wtedy zwał z tej okropnej komody.”

Pajacyk i stare zabawki

To, o czym będzie teraz mowa, wydarzyło się ostatniej zaledwie nocy, gdy nie tylko starsze i młodsze dzieci, ale nawet dorośli leżeli już w łóżkach i spali.

W szopie — takiej zwykłej ogrodowej szopie, do której chowa się rowery, łopaty, grabie i inne tego rodzaju rzeczy — mieszkała gromadka zabawek.

W kącie stał trzykołowy rowerek, na gwoździu wisiała skakanka, hulajnoga opierała się o ścianę. W głębi, najdalej od wejścia, kryły się w cieniu czerwone taczki, którymi dzieci woziły kamyki i piasek, a w taczkach leżała stara piłka i młody, skaczący pajacyk. Był on niezwykle zręczny i żeby nikt nie miał wątpliwości, jego

imię Kajtuś wypisano mu na plecach takimi właśnie dużymi literami.

Zabawki mieszkały w ogrodowej szopie przez całą zimę. Czasem, gdy dorośli przychodzili po łopaty, aby odgarniać nimi śnieg, widziały przez uchylone drzwi śnieżne zasy, a przez wszystkie zimowe miesiące słyszały tylko wycie lub westchnienia wiatru.

Ostatnio jednak coraz częściej dochodził do szopy nowy odgłos — powolne pac — pac z dachu. A potem coś w rodzaju: kap — kap — kap — i w końcu szybciutkie, jedno po drugim: plusk — plusk — plusk. A wtedy już wszystkie zabawki wiedziały, że śnieg na dachu szopy zupełnie stopniał.

— Czy teraz będziemy mogli wyjść na powietrze? — zapytał pajacyk Kajtuś, który nigdy jeszcze nie widział zimy.

81

— O nie, jeszcze długo musimy czekać — powiedziały taczki.

Aż pewnego dnia mały chłopczyk wszedł do szopy i zabrał z niej trzykołowy rowerek. Siadł na niego i jeździł po wiosennym słońcu, głośno dzwoniąc.

— Może teraz przyjdzie na nas kolej? — zapytał Kajtuś.

— Jeszcze musimy czekać — powiedziały taczki.

Po paru dniach weszła do szopy mała dziewczynka Kasia.

— O, tu jest moja kochana piłeczka! — zawołała i mocno przygarnęła do siebie piłkę. Ale piłka zasyczała i oklapła, bo zrobiła jej się mała dziurka w gumowym brzuchu.

— Ach, ty okropna, zepsuta piłko! — powiedziała Kasia i rzuciła ją z powrotem do taczek.

■

Wzięła zamiast niej skakankę i wybiegła na słońce. Skakała przez nią na jednej nodze, potem na drugiej, potem na obu — aż kokardka wypadła jej z włosów, które rozsypały się wokół głowy tworząc coś w rodzaju małej aureoli.

— Dlaczego Kasia nie chciała zabrać ze sobą piłki? — zapytał pajacyk.

Ale taczki powiedziały tylko: — Ciiii... Lepiej nie mówić o tym głośno przy biednej piłce, bo byłoby jej bardzo nieprzyjemnie.

84 Nie poruszano więc tego tematu.

Po pewnym czasie w ogrodowej szopie rozległo się głuche dudnienie — bum, bum, bum — jakby coś z zewnątrz miarowo odbijano od ściany. Taczki wiedziały już, co to znaczy.

Wiedziała też i piłka. Leżała samotna i smutna i tylko od czasu do czasu westchnęła przez dziurkę w brzuchu.

Taczki długo rozmyślały nad tą sprawą. Aż w końcu, ostatniej właśnie nocy, gdy, jak mówiłem, wszyscy spali w łózkach, skrzypnęły i powiedziały do starej piłki:

— To skandal, że nigdy już nie wyjdiesz na wiosenne słońce. Lecz pewno sama się domyśliłaś, że Kasia dostała nową piłkę i zupełnie o tobie zapomniała.

— Wiem, wiem, niestety, wiem — westchnęła stara piłka.

— Ale Piotruś chyba o mnie nie zapomni!

— wtrącił pajacyk Kajtuś. — Tak się mną zeszłego 85

lata cieszył! I w każdym razie dostałem się przez pomyłkę do tej okropnej szopy. Bo moje miejsce jest w dzieciennym pokoju! Tylko gdy wynoszono na zimę wszystkie letnie zabawki, jakoś mnie między was zaplątano i nikt tego nie zauważył. Cały aż drzę z niecierpliwości, żeby jak najprędzej stąd się wydostać.

— No, no, nie bądź taki zarozumiały i nie zadzieraj tak nosa w górę! — odpowiedziały taczki.

— Co z tego, że zrobiono cię zaledwie ostatniego lata? Nikt z nas nigdy nie wie, jak długo będzie trwał. Wiele widziało się w życiu pajacyków takich, jak ty! Wszystko dobrze, póki sznurki są całe, nie poplątane i potrafią ruszać rękami i nogami. Ale niech no tylko coś się oderwie lub złamie, wtedy koniec wszystkiego. Nie, oczywi-

86 ście, nie zawsze tak musi być! - - pośpiesznie do-

dały taczki, widząc, że pajacyk przeraził się nie na żarty i ma łzy w oczach.

— Nawet i ja mam pewne wady — ciągnęły taczki dalej. — Jedna z moich deseczek jest bardzo słaba. Od początku była pęknięta i stolarz, który mnie robił, pokrył tylko to pęknięcie grubą warstwą farby, żeby nie było znać. Ale zawsze drzę ze strachu, kiedy Piotruś tyle piasku we mnie sypie. Ostatniego lata omal mi ta deseczka nie pękła. Kto wie, czy w tym roku Piotruś będzie się chciał mną bawić?...

— Jakie to smutne —■ westchnęła stara piłka. Żal jej było taczek, ale była też i trochę zadowolona, że nie zostanie sama w ciemnej szopie.

— A zobaczycie, że ja najwcześniej ze wszystkich wyskoczę na słońce! — powiedział butnie pajacyk Kajtuś.

— Wstydzilibyś się tak mówić! — skarciły go 87  
taczki. — Wszyscy dzielimy ten sam los. A teraz słuchajcie uważnie! Powiem wam, co  
powinniśmy zrobić.

— Zrobić? A co my możemy zrobić? — zapytał pajacyk Kajtuś.

— Siedź cicho i nie przeszkadzaj — powiedziały taczki. — Otóż dawno temu mieszkały w  
tej samej szopie inne, bardzo stare taczki, które powiedziały mi, że kiedyś nadejdzie taka noc,  
gdy wszystkie zepsute lub zapomniane zabawki ożyją i pójdą sobie w świat. I znajdą dla  
siebie nowe domy, a w nich nowe dzieci, które je pokochają. Długo trzeba było na taką noc  
czekać, ale chyba teraz właśnie nadeszła. Bo czuję jakieś dziwne łaskotanie w moim kółku,  
zupełnie jakby mnie coś szczypało, jakby moje kółko chciało się obracać, obracać i obracać.  
Tak, nie ma co — musimy zaraz się stąd wyrwać!

— Ani mi się śni uciekać z wami! — wrzasnął pajacyk. — Ja chcę zostać tutaj, przy  
Piotrusiu! Chcę wrócić do dzieciennego pokoju i bawić się z innymi zabawkami. Nie chcę  
szukać żadnego nowego domu dla siebie!

Lecz nim zdążył wszystko to powiedzieć, taczki wytoczyły się z szopy razem ze starą piłką i  
pajacykiem. Kółko skrzypiało, stara piłka wzdychała, a zwisające z taczek długie nogi i  
ramiona pajacyka trzęsły się i huśtały.

Niebawem spotkali inne zabawki. Minął ich trzykołowy rowerek ze skrzywioną kierownicą,  
który zataczał się z jednej strony drogi na drugą i o mało ich nie przejechał.

— Dobry wieczór — przywitały go taczki.

— Raczej „dobranoc”, bo jest już bardzo późno — odparł rowerek. — Nie wiem, co mi się  
stało, ale poczułem takie okropne swędzenie

90

w pedałach, że nie mogłem wytrzymać i wyjechałem na drogę. Zupełnie nie mam pojęcia,  
dokąd mnie tak niesie...

Ruszył dalej, zataczając się z boku na bok

Po chwili spotkali lalkę, która miała tylko  
jedno ramię.

— Dobranoc, lalczko — powiedziały taczki, nie chcąc popełniać dwa razy tego samego  
błędu.

— Dobranoc — odrzekła biegnąca tanecznym krokiem lalka, fikając nogami w różowych,  
wełnianych bamboszkach.

— Dokąd tak biegniesz? — wołały za nią taczki.

— Nie wiem, nie wiem. I nie pamiętam już nawet, skąd biegnę! Wiem tylko, że muszę  
pędzić i pędzić, tańczyć i tańczyć — mówiła oddalając się lalka.

jta\*^

" .a

»

— Szkoda, że nie przyłączyła się do nas — westchnął pajacyk.

— Ty nic nie rozumiesz! — oburzyły się taczki. — Przecież każda zabawka musi znaleźć  
nowy, osobny dom tylko dla siebie! Na tym polega cała sprawa! Bo jeśli jedno dziecko  
dostanie od razu całe mnóstwo starych i zepsutych

zabawek, ^f^ędzie to samo, co już było — po prostu niektóre z nich wyrzuci! O nie, każde  
dziecko dostani^ tej nocy tylko jedną zabawkę. Jedną starą. Oaląawkę i nic więcej!

SpotkabCjeszfcze wiele innych zabawek. Rozwijając; się i zwijając jak wąż, podskakiwała  
wzdbż drogi skaka|ika, a za nią, .kręcąc się w kółko i objając ó kamienie, toczył się

grający

ГЗ

ивага.

bąk. Cały maleńki pociąg z prychającą lokomotywą i wagonikami pędził pełną szybkością. Wjechał prosto w przydrożny rów pełen wody, ale zaraz ukazał się po jego drugiej stronie — tyle, że z komina lokomotywy — gul, gul, gul — wylatywały bąbelki, a pociąg całym rozpędem wpadł na drewniane kółko toczące się w przeciwnym kierunku. Kółko upadło, pociąg się wy-

Ś

koleił, ale nie była to wielka katastrofa. Zanim zdążyłbyś zliczyć do trzech — i pociąg, i kółko podniosły się, powiedziały — przepraszam — i ruszyły każde w swoją stronę. Pluszowy miś z rozdartym na plecach futerkiem maszerował, trochę kuśtykając. Wszystko, czego było mu potrzeba, to garść trocin i kilka ściągów mocnej nici.

-

Na pewno niejedna mała dziewczynka ucieszyłaby się, gdyby go dostała i mogła naprawić rozdarte futerko.

Stara piłka zaczęła wiercić się niespokojnie.

— Przystańmy na chwilę — powiedziały. — Tam pod lasem stoi mała chatka. Coś mi mówi, że powinnam już wysiąść.

Taczki przystanęły. Stara piłka wyskoczyła i potoczyła się do chatki. Zebrawszy resztki sił, odbiła się w górę od ziemi, żeby zajrzeć przez okno do środka. I zobaczyła małą dziewczynkę, która spała w łóżku, tuląc do siebie szmacianą lalkę.

— Tutaj będzie mój nowy dom, tu zostanę — powiedziała do swoich towarzyszy. — Dziękuję za podwiezienie i za wszystko. Poczekam sobie na progu do rana. Na pewno ta mała dziewczynka jutro mnie znajdzie. Do widzenia! 95

Taczki i pajacyk pożegnali ją i ruszyli w dalszą drogę.

Jechali i jechali, aż nagle taczki zakołysały się gwałtownie i podskoczyły.

— Zupełnie jakby mnie coś szarpnęło w środku i koniecznie chciało skierować tą ścieżką biegnącą do lasu — powiedziały do pajacyka. Więc skręcili do lasu. Było tu jeszcze trochę śniegu, po którym kółko tacek — skrzyp, skrzyp — skrzypiało. Dojechali do polanki, na której stała chatka, jeszcze nawet mniejsza od tej, przed którą wysiadła stara piłka. Taczki wzięły porządny rozpęd i wjechały na kupę zgarniętego śniegu, leżącego pod oknem, tak że udało im się zajrzeć do środka. Zobaczyły śpiącego w łóżeczku małego chłopca. Przy piecu stało tekturowe pudełko z przywiązanym sznurkiem. Takie to miał ten mały chłopiec taczki!

П

— Hm, nie ma co! Tu jest moje miejsce — powiedziały taczki. — Ale co będzie z tobą, Kajtusi, jeśli ja tu zostanę? Czy jeszcze nie poczułeś żadnego tajemniczego znaku? Nic cię dotąd nie poślaskotało w twoje długie ręce i nogi -tak, jakby ktoś niewidzialny pociągnął cię za sznurki mówiąc: „Wysiadaj, tu jest twój dom”?

— Nie! Nic mnie nie poślaskotało, niczego podobnego nie poczułem i nic mi niczego w tym rodzaju nie powiedziało! — rzekł paja-cyk obrażonym tonem. — Bo ja jestem cały i nie popsuty! To tylko wy, popsute zabawki, musicie sobie szukać nowych domów i nowych dzieci. Na mnie czeka Piotruś, który mnie kocha i za mną tęskni! Niepotrzebnie przywlekliście mnie tutaj. Przecież krzyczałem, wołałem, że nie chcę z wami jechać — ty głupia, stara kupo deseczek!

— To nie moja wina — tłumaczyły się taczki. — Kiedy chciałeś wyskoczyć, coś mówiło mi, że musimy cię ze sobą zabrać.

— Zawsze ci coś tam mówi i coś tam czujesz — złościł się pajacyk. — Ale co ze mną będzie?

Nagle taczki zrozumiały, dlaczego tak się stało.

— Już wiem! — wykrzyknęły. — Już wszystko jest dla mnie jasne! Musiałeś zobaczyć na własne oczy to, co się tej nocy zdarzyło. Gdy wrócisz do domu, będziesz mógł powiedzieć o tym innym, nie popsutym jeszcze zabawkom. Powiedz im, żeby się nie martwiły, kiedy się

trochę połamiam, kiedy farba z nich odpadnie, kiedy coś im pęknie, odpruje się czy odlepi. Bo jest mnóstwo dzieci, które przyjmą je z radością i naprawią, zszyją je i zlepią — tak że będą jak nowe!

I w tej chwili pajacyk wyskoczył w górę, bo także wszystko zrozumiał.

— Masz rację, masz najzupełniejszą rację! — powiedział.

Ku swemu zdumieniu zauważył, gdy tak nagle w górę wyskoczył, że może poruszać się

o własnych siłach. Co to było za szczęście móc samemu rozprostować nogi i ramiona, bez tego, żeby ktoś tam ciągnął za sznurek! Najpierw podskoczył na jednej nodze, potem na drugiej i w końcu fiknął z radości koziołka. Podziękował taczkom za wszystko i serdecznie je pożegnał.

I pognął przez las, drogę i pola z rozwianymi sznurkami, jak z ogonem, za sobą — aż znalazł się z powrotem w domu, w starej, ogrodowej szopie.

Właśnie teraz pajacyk Kajtuś czeka, aż zapadnie zmrok. Bo dopiero wtedy, gdy wszystkie dzieci i wszyscy dorośli będą już głęboko spali w swych łóżkach, wykradnie się z szopy, by powiedzieć innym zabawkom — całym i popsutym, jeszcze kochanym i już zapomnianym — o tym, co widział i słyszał w ciągu poprzedniej nocy, i zapewnić je, że zawsze znajdą się dzieci, które przyjmą je z radością i pokochają.

Więc gdy obudzisz się jutro rano i zobaczysz, że twoja stara lalka weselej się uśmiecha lub że pogięta trąbka brzmi różnie niż dawniej, to wiedz, że pajacyk Kajtuś był już tutaj i opowiedział o swych nocnych przygodach, o nocnej wyprawie, na którą jego i starą piłkę zabrały taczki z pękniętą deseczką.

Ziemniak pełen wspaniałych pomysłów

Dawno temu był sobie pewien ziemniak, który tkwił w ziemi i niecierpliwie czekał, aż go ktoś wykopie. Inne ziemniaki dorastały sobie spokojnie i cicho jak należy, tylko temu jednemu ciągle jakieś nadzwyczajne pomysły przychodziły do głowy. A poza tym był bardzo zarozumiały i okropnie mu się nudziło.

— Hej tam, słuchajcie mnie! — wołał. — Nie chce mi się już dłużej leżeć w ziemi! Sam wydam się z tej nory! Ludzie na pewno marzą o tym, by przekonać się na własne oczy, jaki to ze mnie piękny okaz ziemniaka! A wszystko co piękne powinno jak najszybciej znaleźć się w pełnym świetle dnia, radować się słońcem

i cieszyć oczy innych! Zaraz ukazę się całemu światu, ja, najpiękniejszy ziemniak ze wszystkich ziemniaków!

Może o tym wiecie, a może nie, że ziemniaki-dzieci są przyczepione do ziemniaka-mamy czymś w rodzaju nici, niewątpliwie dlatego, by mama-ziemniak mogła lepiej roztaczać nad nią swą matczyną opiekę. Więc zarozumiały ziemniak zaczął szarpać swoją nić i ciągnąć ją z całej siły tak, że rozciągała się i rozciągała — aż pewnego dnia znalazł się na powierzchni ziemi.

— Hurra, hurra! W końcu mi się udało! — cieszył się. — Dzień dobry, mości Chwaście!

Uszanowanie, mości Robaku! Jestem najpiękniejszym ziemniakiem świata! A gdyby tak pan, mości Słońce, zechciał trochę poświecić specjalnie dla mnie, to proszę bardzo, nie mam nic przeciw temu!

104

— Z przyjemnością — rzekło Słońce — ale obawiam się, że nie wyjdzie ci to na zdrowie.

— Kto by się tam przejmował głupstwami! Proszę świecić prosto na mnie ile wlezie, żebym mógł się nareszcie porządnie wygrzać i opalić!

I słońce świeciło coraz mocniej i mocniej, a zarozumiały ziemniak stawał się kolejno niebieski, zielony i w końcu tak czerwony, że aż purpurowy. Wbiło go to w jeszcze większą dumę.

— Kiedy tu przyjdą mali chłopcy — marzył — i zobaczą mnie, na pewno krzykną z zachwytu: „Ach, co za piękny ziemniak! Musimy go zanieść naszej mamie na obiad! I jeden z nich włoży mnie delikatnie do kieszeni. A gdy mama chłopców mnie zobaczy, nic, tylko powie: „Ach, co za przepiękny ziemniak! Po prostu za piękny dla mnie! Dam go naszemu Sołtysowi!” A gdy Sołtys mnie zoba-

I

M

czy, zaraz powie: „Ach, co za prze-przepiękny ziemniak! Muszę go dać Wójtowi!” A gdy Wójt mnie zobaczy, od razu powie: „Ach, co za prze-prze-przepiękny ziemniak! Natychmiast go ofiaruję Staroście!” A gdy Starosta mnie zobaczy, natychmiast powie: „Ach, co za prze-prze-prze-prze-przepiękny ziemniak! Złożę go w prezencie Wojewodzie!” A gdy Wojewoda mnie zobaczy, z miejsca powie: „Ach co za prze - prze - prze - prze - prze - przepiękny ziemniak! Nadaje się tylko na królewski stół!” I owina mnie w srebrny papier, i zawiąże wstążeczkami, i prześle Królowi. A gdy Król mnie zobaczy, ubierze się w swe najwspanialsze szaty i zasiądzie na swym złotym tronie, i ułożą mnie na . złotym półmisku, i Król mnie zje, a wszystkie dzwony będą biły, aby obwieścić wszem wo-ioó bec, że Król spożywa właśnie najpiękniejszego

/w

ziemniaka, pochodzącego z Bordziejówki nad Ruczajem!

Właśnie gdy snuł swój bajeczny sen, gospodarz, gospodyni i ich mały synek wyszli w pole wykopywać ziemniaki. Śpiewali przy pracy i wołali do siebie, gdy ktoś z nich znalazł naprawdę zdrowego i dużego ziemniaka.

— Dopiero to będzie radość, kiedy mnie zobaczą! — cieszył się zarozumialec.

I nagle mały chłopczyk zawołał:

— O, jaki okropnie śmieszny ziemniak! Tu jest niebieski, a tam zielony, a tu znowu taki czerwony, że aż purpurowy!

— Wrzuć go do cebra dla świń — powiedział ojciec. — Taki ziemniak nie nadaje się do jedzenia. Leżał na ziemi, zamiast, jak powinien, pod ziemią. A świniom wszystko jedno, jaki ma kolor!

I w ten sposób zarozumiały ziemniak znalazł się w świńskim korycie, zamiast na królewskim stole, co jasno wykazuje, że nie należy się przechwalać, nawet jeśli się ma naj-naj-najwspanialsze pomysły w głowie.

Mysia Gwiazdka

Opowiem wam teraz przygody pewnej mysiej rodziny, która żyła za ścianą spizarni.

Przed każdą Gwiazdką mama-mysz i jej dzieci — wszyscy wspólnie zamiatali i wycierali ogonkami z kurzu całe mieszkanie, a ojciec-mysz przystrajał stary but pajęczą nicią, niby anielskimi włosami. Ten but zastępował myszkom choinkę i pod nią układano prezenty dla dzieci, z których każde dostawało jeden orzeszek. Prócz tego mama-mysz przynosiła kawałek boczku i każdy mógł go powąchać.

Później myszki tańczyły wokół buta, śpiewały i grały w rozmaite mysie gry, póki się porządnie nie zmęczyły. Wówczas ojciec mówił: 109

— Dostyc na dziś! Czas do łóżek! I wszyscy szli spać.

Tak było zawsze na każdą Gwiazdkę i tak miało być również i w tym roku. Małe myszki trzymały jedna drugą za ogonki i tańczyły dokoła buta, a babcia-mysz przyglądała im się z uśmiechem ze swego bujającego fotela, który wcale nie był bujającym fotelem, tylko starym, wydłubanym w środku burakiem.

Ale tego roku gdy ojciec powiedział: „Dostyc na dziś! Czas do łóżek!” — małe myszki puściły ogonki, za które się trzymały, i pisnęły chórem:

— Nie! Nie!

— Co to ma znaczyć? — rzeki ojciec. — Kiedy mówię, że czas do łóżek, to czas do łóżek!

— Jeszcze nie chcemy iść spać! — wołały i io dzieci i ukryły się za bujającym fotelem babci.

mama.

spać!

Dosyć tego dobrego! — gniewała si<;

Gwiazdka się skończyła i wszyscy mars2

Nie! Nie! — piszczały dzieci wspinając się na kolana babci, która tuliła je do siebie.

— Czemu nie chcecie kłaść się do łóżeczek, moje kochane wnuczęta-myszęta? — pytała.

— Bo chcemy pójść na górę do saloniku i potańczyć dokoła prawdziwej choinki — powiedziała najstarsza mała myszka. — Zajrzałam tam przez szparę przy podłodze i widziałam ogromną choinkę z całym mnóstwem światełek!

— Chcemy zobaczyć prawdziwą choinkę i wszystkie światełka i świecidełka! — zawołały chórem inne małe myszki.

— Salonik to bardzo niebezpieczne dla nas miejsce — przestrzegła babcia.

— Ale nie teraz, kiedy już wszyscy ludzie poszli spać — rzekła najstarsza mała myszka.

— Pozwólcie nam pójść do saloniku! — błagały wszystkie.

Mama-mysz i ojciec-mysz namyślali się, co mają robić, bo nie chcieli sprawiać dzieciom przykrości w samą Gwiazdkę.

— Może zaprowadzimy je tam chociaż na chwileczkę? — zastanawiała się mama.

— No, dobrze, dobrze — zgodził się ojciec. — Ja pójdę pierwszy, a wy trzymajcie się tuż za mną.

I poszli całą rodziną. Minęli, idąc przez spi-^ żarnie na paluszkach, trzy puszki śledzi, dwa duże słoje miodu i dziesięć butelek piwa.

— Uważajcie, żeby o nic nie potraćić — szepnął ojciec. — Jak tam, babciu, starczy ci sił?

— Naturalnie, że starczy! — powiedziała babcia. — Dam sobie radę! Nie widziałam tego saloniku od czasu, jak byłam małą myszką. Cieszę się, że go znowu odwiedzę.

— Uwaga na pułapkę! — rzekła najstarsza mała myszka. — Jest tam, za workiem mąki.

— Znam ją znam — mówiła babcia. — Pamiętam ją z moich dziecinnych czasów. Zawsze tam była.

Mówiąc to babcia wzięła porządny rozpęd, długim skokiem przesadziła pułapkę i wraz z innymi zaczęła się wspinać w górę po ścianie.

— Jaka śliczna choinka! — cieszyły się dzieci myszki, gdy zajrzały do pokoju przez dziurę przy kominku. — Ale gdzie są światełka? Tyle o nich opowiadałaś, że się tak kolorowo świe-

114 ca! — mówiły z niepokojem tłocząc się wokół

najstarszej małej myszki, która zapewniała je, że wczoraj cała choinka jarzyła się światłami.

Nagle zapłonęły wszystkie kolorowe lampki. To babcia oparła się przypadkiem o przełącznik na ścianie.

— Ach, jak ślicznie, jak pięknie! — wołały małe myszki, a dorosłym też się bardzo podobało.

Cała mysia rodzina weszła do saloniku i spacerowała dokoła drzewka przypatrując się ozdobom — małym koszyczkom z rafii, szklanym bombkom i błyszczącym girlandom. Ale dzieci znalazły coś znacznie bardziej interesującego: pod choinką stała wspaniała, nakręcana ciężarówka!

Małe myszki nie umiały jej same nakręcić. Ale zrobił to już chłopiec, który ją dzisiaj dostał, bo chciał jutro od razu po wstaniu z łóżka bawić się nową zabawką. Myszki nic o tym nie

115

widziały i wsiadły do ciężarówki, która od razu ruszyła z miejsca.

— Dzieci, dzieci! Nie hałasujcie tak! — ostrzegła je mama.

Lecz myszki jej nie słuchały. Bawiły się znakomicie jeżdżąc dookoła choinki.

— Żeby tylko nie przyszedł kot! — westchnął niespokojnie ojciec. Ledwo to powiedział, duże, grube kocisko wsunęło się bezszelestnie do saloniku.

— Do dziury, myszki, do dziury, bo was zobaczy kot bury! — krzyknął ojciec i wraz z mamą \*i babcią wskoczył do dziury. Lecz biedne, małe myszki krążyły po pokoju uwięzione w ciężarówce. Nigdy w całym swoim mysim życiu nie były tak przerażone.

Kot zaczął się pod samą choinką i za każdym razem, gdy ciężarówka go mijała, starał się pacnąć ją łapą. Ale ona jechała zbyt szybko i na szczęście nie mógł zdążyć.

Po chwili zaczęła zwalniać.

— Musimy wyskoczyć w biegu i od razu wskoczyć na choinkę! — powiedziała najstarsza mała myszka.

I gdy ciężarówka jeszcze zwalniała, wszystkie myszki jednocześnie dały susa, a raczej tyle susów, ile było myszek, i znalazły się na gałązkach choinki.

Jedna kucnęła w koszyczku z rafii, druga za lampką, która omal jej nie poparzyła, trzecia huśtała się na szklanej bombce, a czwarta zawinęła się w kłębek waty udającej śnieg.

Najstarsza mała myszka weszła na szczyt choinki i kołysząc się na gałązce przy samej wielkiej gwiazdce wołała do kota:

V

III fś

Głupi, gruby kot! Nie wlezie tu, Bo mu brak tchu! Głupi, gruby kot!

Kot udawał, że nie słyszy tych obelg i że w ogóle nie zauważył małych myszek. Chwycił pazurami ciężarówkę i mruknął niby to do siebie:

— Nie interesuje mnie dziś łapanie myszy. Chcę się tylko pobawić tą zabawką!

— A już! Głupie kocie gadanie! — powiedziała najstarsza mała mysz, która była też i najodważniejsza. — Zdążyłbyś nas wyłapać, gdybyśmy tylko zeszły na dół.

— Nic podobnego — zapewnił kot. — Nigdy bym tego nie zrobił w samą wigilijną noc.

I słowa dotrzymał. Gdy małe myszki zeszły nieśmiało z choinki, nawet się nie ruszył i tylko powiedział:

— Szybko! Uciekajcie do waszej dziury, bo 120 mogę nie wytrzymać! Pamiętajcie, że tylko w sa-

ma noc wigilijną jestem tak wzruszająco dobry dla małych myszek! Ale biada, jeśli którą z was złapię jutro rano!

Myszki rzuciły się pędem do dziury i nie przestały biec, póki nie znalazły się całe i bezpieczne w swoim domu, za ścianą spiżarni. Ojciec, mama i babcia czekali na nie drżąc z przerażenia na samą myśl, co je spotkać mogło.

Kiedy mama-mysz usłyszała, jakie jej dzieci miały wstrząsające przygody, kazała im obiecać, że nigdy, ale to nigdy więcej nie pójda do saloniku na górze.

— Przyrzekamy, przyrzekamy, mamusiu! — zapiszczały wszystkie razem.

Wówczas ojciec-mysz wziął do ręki spis Mysich Przykazań i uroczyście je odczytał, a małe myszki tak długo za nim powtarzały, póki się ich na pamięć nie nauczyły:

Obiecujemy, małe myszki, Rodziców słuchać przede wszystkim, Własne łóżeczka ścielić ładnie, Nie rzucać śmieci, gdzie popadnie. Przed drzwiami nóżki swe wycierać I nigdy z kotem nie zadzierać. Nie brać od osób nam nie znanych Cukierków nawet nadziewanych, Na wszystkie strony bacznie zerkać, Skrawków słoninki ani serka Nie brać do pyszczka ni do łapki, Bo to na pewno skrawki z pułapki. Wolno natomiast się zakradać, Gdzie ciasto jest lub czekolada, I zawsze warto wleźć na półkę, Aby chrupiącą schrupać bułkę. Pań nie ma się co bać, bo panie Boją się myszek niesłychanie,

Lecz trzeba wciąż pamiętać o tym,

Że są pułapki i są koty,

I innych niebezpieczeństw trzysta!

Oto Przykazań Mysich lista!

Zawsze można coś wyprosić

Pewnego dnia pewna stara kobieta przędła na kołowrotku, gdy nagle mała myszka wyszła z dziury przy samej podłodze obok kuchenki.

— A to dopiero! — zdziwiła się stara kobieta. — Czego chcesz, mała myszko?

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Moja mama chciałaby wiedzieć, po co przędziesz to włókno?

— Utkam z niego sweter dla mojego męża, bo ten, który nosi, jest już bardzo stary — powiedziała kobieta.

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Pójdę i powiem mamie.

Kobieta przędła dalej, ale wkrótce usłyszała chrobotanie i zobaczyła siedzącą przed dziurą tę 124 samą małą myszkę.

LA

— Znowu tu jesteś? — zapytała.

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Moja mama chciałaby wiedzieć, co zrobisz ze starym swetrem twojego męża, kiedy on już dostanie nowy?

— Sama go będę nosiła, bo mój żakiecik jest już bardzo zniszczony — odrzekła stara kobieta.

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Pójdę i powiem mamie.

Poszła, ale zaraz wróciła.

— O co ci chodzi tym razem? — zapytała stara kobieta.

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Moja mama chciałaby wiedzieć, co zrobisz ze swoim zniszczonym żakiecikiem, kiedy weźmiesz sobie stary sweter twojego męża, a on już dostanie nowy?

— Dam go psu, żeby miał na czym w budzie leżeć, bo jego kocyk jest już bardzo dziurawy.

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Pójdę i powiem mamie.

Ledwo zniknęła, znowu przyszła.

— Już jesteś z powrotem? — zdziwiła się stara kobieta. — Czego sobie życzysz?

— Pi, pi — pisnęła myszka. — Moja mama chciałaby wiedzieć, kto dostanie dziurawy kocyk psa, kiedy dasz mu twój zniszczony żakiecik, kiedy weźmiesz sobie stary sweter twojego męża, kiedy on już będzie miał nowy?

— Mogę go wam dać — powiedziała stara kobieta.

— Pi, pi, bardzo dziękujemy! — pisnęła mała myszka. — Zrobimy sobie z tego kocyka koł-126 derki — mama jedną i ja jedną!

I tak się ucieszyła, że z radości zaśpiewała piosenkę:

Mara-mysz i myszka-córka  
Pod kołderki dadzą nurka,  
Bo choć grzeją je futerka,  
Lecz nie ma to jak kołderka!

Pod kołderką smacznie śpi się,  
Nigdy straszny kot nie śni się  
I gdy tylko światła zgasną,  
Miło pod kołderką zasnąć!

Profesor Wiemwszystko i śpiewające komary

Pewnego ciepłego, letniego wieczoru pani Komar powiedziała do swoich córek:

— Złożymy dziś wizytę panu profesorowi Wiemwszystko.

— A po co; A na co? A dlaczego? — dopytywały się trzy siostry Komarówny: najmłodsza, średnia i najstarsza.

— Zaśpiewacie mu wasze piosenki. Macie przecież bardzo ładne głosy. A profesor Wiemwszystko doskonale zna się na muzyce, zwłaszcza na produkcjach wokalnych — powiedziała pani Komar.

Więc trzy panny Komarówny rozprosto-128 wały skrzydełka, poleciały tam, gdzie znajdo-

&

wał się domek profesora Wiemwszystko (flet) częty krażyć za oknem jego sfn na zaczął k~  
mar zajrzała do środka, a jej córki Wiemwszystko klwymi głosami, wszystkie nar

—\* Mamo, czy okno jest tk, hzyk,

— Mamo, czy on je otwór:

— Mamo, czy możemy ]wę, zyg, środka?

— Na pewno otworzy oknoWJ-położy do łóżka — zapewniła je ].III-

— Czy on już się położył, ma^^

— A czy otworzył okno, mam,,m'jy/

— A co mu zaśpiewamy, mai

— Poczekajcie, dzieci, poczekaj \  
się co spieszyć. Pozwólcie profesor J Y

wszystko ułożyć się wygodnie w III . , .

i i • ■ III niespodziewa-

koiii c pani Komar.

A . i ękami. 131

— O, już otwiera okno, mam\*

• »

— Wracaj! Natychmiast wracaj, córeczko! — zawołała pani Komar zdławionym z  
przerażenia głosem.

— Czy ładnie śpiewałam, mamusiu? — zapytała najstarsza panna Komarówna, gdy  
zadyszana siadła na okiennej zasłonie.

— Bardzo ładnie. Był to niezwykle udany występ. Teraz musimy poczekać, póki pan  
profesor znowu nie zaśnie, i wtedy nadejdzie twoja kolej, moja kochana średnia córeczko —  
powiedziała pani Komar. — Możesz zaśpiewać: „Co wieczór, nocą, w dzień i rano”. To taka  
romantyczna piosenka! Na pewno się panu profesorowi spodoba. Śpiewaj głośno i tak  
rzewnie, żeby wzruszony pan profesor Wiemwszystko wyskoczył z łóżka na środek pokoju.  
Wtedy szybko uciekaj. Już możesz zaczynać: raz, dwa, trzy!

I średnia panna Komarówna zaśpiewała tak głośno i rzewnie, jak tylko mogła:

Co wieczór, w nocy, w dzień i rano Marzę i śnię od lat, By tobie, luby, usiąść na nos, Niby  
na róży kwiat!...

Zdażyła odśpiewać tylko jedną zwrotkę, bo pan profesor Wiem-wszystko zaraz wyskoczył z  
łóżka na równe i bose nogi.

— Wracaj, wracaj! — nerwowo powtarzała pani Komar.

— Jak mi się powiodło? — zapytała średnia panna Komarówna, gdy niemal bez tchu  
wróciła do mamy.

4

— Nieźle, zupełnie nieźle. Ale pamiętaj, że my, komary, nie mamy zwyczaju przechwalać  
się byle czym! A teraz na zakończenie naszego koncertu, ty, moja najmłodsza córeczko,  
wykonasz „Pieśń wieczorną”, znasz ją przecież — rzekła pani Komar i sama zaśpiewała:  
Kiedy rozgwar dnia przycicha, Mych skrzydełek granie słyhać. Niech cieniutka ta muzyka  
Miło w twoim uchu bzyka I niech ból ci wynagrodzi, Gdy mój język cię ugodzi!...

— Tak, to coś w sam raz na dzisiejszy wieczór — powiedziała w zamyśleniu.

— Bardzo lubię tę piosenkę! — ucieszyła się najmłodsza panna Komarówna, która miała  
najcieńszy głos ze wszystkich panien Komarówien.

— To już będzie ostatni numer naszego programu — rzekła pani Komar. — Pewna jestem,  
że pan profesor Wiemwszystko będzie zachwycony. Być może, zaczniesz ci nawet bić brawo,  
ale wtedy uciekaj szybko jak możesz.

— Tak, mamusiu — powiedziała najmłodsza panna Komarówna i wleciała do pokoju.

Profesor Wiemwszystko leżał w łóżku zupełnie nieruchomo, szczelnie nakryty kołdrą. Najmłodsza panna Komarówna zauważyła, że tylko jedno ucho mu wystawało, więc prosto do tego ucha zaczęła śpiewać swoim cieniutkim głosikiem:

Kiedy rozgwar dnia...

I nagle: plask! Pan profesor Wiemwszystko odrzucił kołdrę, zerwał się i klasnął w dłonie.

Plask — znów klasnął, zupełnie jakby bił brawo.

— O, moje najdroższe, najmłodsze dziecko, wracaj do mamy! — łkała pani Komar.

Ale odpowiedziała jej głucha cisza przerywana tylko od czasu do czasu głośnymi oklaskami profesora Wiemwszystko.

— Wracaj, siostrzyczko, wracaj! — wołały starsze siostry najmłodszej panny Komarówny.

Dopiero po minucie, która wydała się oczekującym na zasłonie okiennej komarom całą godziną, doszło do nich cichutkie „bzyk, bzyk” i najmłodsza panna Komarówna wróciła do swoich sióstr i mamy.

— Czy nie słyszałaś, jak cię wołałyśmy, nieposłuszne dziecko? — skarciła ją surowo pani Komar.

— Tak, słyszałam. Ale gdy pan profesor Wiemwszystko zaczął bić brawo, chciałam mu dalej śpiewać na bis. Lecz on nie dał mi skoiiczyć, tylko klasnął i klasnął, aż się zlekłam i uciekłam!

— Bardzo dobrze zrobiłaś — pochwaliła ją pani Komar. — A na przyszłość zapamiętajcie sobie, moje kochane dzieci, że gdy śpiewacie ludziom, a oni zaczynają klaskać, to musicie zaraz uciekać tak daleko, jak możecie. Bo jak powiada nasze stare przysłowie:

Kto klaszcze na cześć komara — Tylko zabić go się stara.

Kapelusz Pana Nadymalskiego

Żył raz sobie pan Nadymalski, który nosił na głowie ogromny kapelusz. Pan Nadymalski był człowiekiem niezwykle poważnym i surowym i bardzo go gniewało, że kiedy idzie ulicą, dzieci gapią się na jego -kapelusz. A gdy tylko które dziecko zatrzymało się przed jego domem, zaraz wybiegał i krzyczał: „Wynoś się, wynoś się!” —bo myślał, że chce mu ukraść jabłko z sadu.

Nikt nie śmiał się w niczym panu Nady-malskiemu sprzeciwić ani tym bardziej narazić, i wszyscy mu ustępowali.

— Cicho — sza! — mówiły matki bawiącym się na ulicy dzieciom. — Zachowujcie się cicho i spokojnie, bo pan Nadymalski zaraz będzie 138 tędy przechodził.

Codziennie punktualnie o pół do dwunastej pan Nadymalski udawał się do mleczarni po butelkę mleka i każdy wołał wtedy siedzieć w domu.

Pewnego dnia Zachodni Wiatr maszerował sobie przez miasto, świszcząc i niszcząc co popadło, a trudno sobie wyobrazić coś gorszego od Zachodniego Wiatru w porze jesiennej. Po prostu przechodzi ludzkie pojęcie, co takie wietrzysko wyrabia!

I nagle Zachodni Wiatr spostrzegł pana Nadymalskiego idącego ulicą w ogromnym kapeluszu.

— Hiiii! — zachichotał Zachodni Wiatr. — Ten kapelusz to coś specjalnie dla mnie!

I chuchnął, i dmuchnął, i zdmuchnął panu Nadymalskiemu kapelusz z głowy.

Kapelusz potoczył się po chodniku. Pan Nadymalski pobiegł za nim co sił. Ale gdy już, już go chwycił, Zachodni Wiatr porywał kapelusz

dalej, zanosząc się przy tym ze śmiechu. Za każdym razem to się powtarzało: gdy tylko pan Nadymalski wyciągał rękę po kapelusz, Wiatr od wiewał go dalej i dalej.

Aż w końcu porwał go wysoko w powietrze, ponad dachy domów i poniósł za miasto do lasu.

— Już mi się znudziła ta zabawa — powiedział w końcu Zachodni Wiatr do kapelusza. —

Cisnę cię do strumienia i możesz sobie robić, co chcesz. Nic mnie nie obchodzi, czy będziesz pływał, czy utoniesz. Wszystkiego najlepszego! Do widzenia!

Kapelusz machnął w powietrzu dwa koziołki, plusnął w wodę i pożegłował niby okrągły stateczek. Akurat mała polna myszka wybrała się tego dnia po orzechy do lasu i sięgając po nie, też do stramienia wpadła. Umiała niezłe pływać, ale prąd był tak silny, że omal się nie utopiła.

#

Gdy spostrzegła unoszący się na wodzie kapelusz, chwyciła pazurkami jego rondo i szybko wdrapała się na szczyt denka.

„Płynę sobie jak na luksusowym statku! Ach, żeby mnie tak inne myszy zobaczyły!” — pomyślała zadowolona z siebie i pisnęła niemal tak głośno, jak syrena okrętowa.

Posłyszała to druga polna myszka, a gdy ujrzała ten wspaniały statek, zawołała swoje koleżanki i wkrótce już osiem polnych myszek płynęło na kapeluszu. Pierwsza, która nań weszła, została kapitanem statku, druga — zastępcą kapitana, a trzecia, czwarta, piąta, szósta, siódma i ósma były marynarzami.

Trudno sobie wyobrazić, co te małe myszki wyrabiały tej jesieni z kapeluszem pana Nadymalskiego! Każdego dnia pływały na nim po stru-

142 mieniu, a gdy nadeszła zima i było na to zbyt

J

chłodno, wyciągnęły kapelusz na brzeg i zrobiły z niego przytulny domek. Mieszkały w nim całą zimę, było im ciepło i miło, opowiadały sobie mysie bajeczki, a gdy nadeszła Gwiazdka, śpiewały mysie kolędy.

Na wiosnę znowu urządziły przejażdżki kapeluszem po strumieniu.

Aż pewnego pogodnego dnia las wypełnił się wesołym gwarem i hałasem. Dzieci z miasta przysły tu na wycieczkę. Przyproceedził je pewien dorosły pan, który wraz z nimi śpiewał, pokrzykiwał i świetnie się bawił. Dorosły pan niósł najmłodsze dziecko na rękę, a inne trzymały się mocno brzegów jego marynarki. Dzieci zbierały kwiaty i pokazywały dorosłemu panu wszystkie wspaniałe rzeczy, jakie tylko na wiosnę można w lesie zobaczyć. 144

Tak doszli do strumienia.

— Spójrzcie! — wykrzyknął jeden z chłopców. — Widzicie ten wielki kapelusz tam, po drugiej stronie?

Myszki właśnie niedawno wyciągnęły swój statek na brzeg i poszły na obiad.

Kiedy dorosły pan zobaczył kapelusz, zaczął się śmiać i tak się śmiał, że długo nie mógł przestać.

Bo znał ten kapelusz doskonale.

A ciekawy jestem, czy domyślilibyście się sami, kto to był ten dorosły pan? Nie kto inny, lecz pan Nadymalski! Ale znacznie miłszy pan Nadymalski i tak odmieniony, że trudno już go było panem Nadymalskim nazywać.

Czy wiecie, jak do tego doszło? Otóż, kiedy pan Nadymalski nosił ten swój ogromny kapelusz na głowie, bardzo się bał, że dzieci będą się z niego wyśmiewały. Ale od dnia, w którym Zachodni

Wiatr kapelusz mu porwał, stał się zupełnie inny, bo nie miał już się czego bać!

— Tam jest pana stary kapelusz! — krzyknęły radośnie dzieci. — Może pan go znowu włoży na głowę?

— Co to, to nie! — powiedział pan Nadymalski. — Dalej, dzieci, zbierajcie te śliczne kwiatki rosnące nad strumieniem!

I dzieci zebrały piękny, wiosenny bukiet.

A polne myszki płyną sobie w kapeluszu pana Nadymalskiego po dziś dzień — zupełnie jakby to był najprawdziwszy statek.

i

Spis

treści

Małenka pani Flakonik.....

Miriam z Ameryki.....

Pajacyk i stare zabawki..... 80

Ziemniak pełen wspaniałych pomysłów .... IO2

Mysia gwiazdka..... ' 10o

Zawsze można coś wyprosić..... 124

Profesor Wiemwszystko i śpiewające komary ... 128

Kapelusz pana Nadymalskiego..... 138

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1970. Wydanie I Nakład 20 000+277  
egz. Ark. wyd. 4,3 Ark. druk. A-1 8,62. Papier offsetowy II. III, 120 g, 73x100/24. Oddano do  
składania 13. IX. 1969 r. Podpisano do druku w listopadzie 1970 r. Druk ukończono w  
grudniu 1970 r. PZGraf. RSW „Prasa”, Wrocław. Zam. nr 3024/69 C—5